

Farsa może być też „klasyczna”

Franciszek Schönthan: „Porwanie Sabineki”. Komedia (?) w 2 częściach, w opracowaniu scenicznym Juliana Tuwima. Reżyseria i scenografia: Czesław Szpakowicz. Premiera w Teatrze Komedia.

Każdy rodzaj sztuki ma swe utwory reprezentacyjne, klasyczne — i nie próbuj udowodniać, że jeden rodzaj to namaszczone relikwie, czczone odświętnie, a drugi to niezdarne świątki pod krzywą wierzbą. Odkąd istnieje teatr, obok patetycznych tragedii, oczekujących krwią i nabrzmiałych najtrudniejszymi problemami, odgrywano farsy satyrowe... całkiem przeciwne. Odkąd istnieje teatr, u boku zbuntowanej Antigony staje po ludzku sprytna Gromiwoja, a spoza cienia tragicznych Orestesów wyłania się rubaszna sylweta Żołnierza Samochwała. I próżno prawić o przewadze bohatera nad błaznem, Hamleta nad Falstaffem, Mizantropa nad szelmą — Skapenem: oni idą krok w krok i równocześnie przychodzą do mety.

...Tak „zasadniczy” wstęp z powodu jednej głupiej farsy, zagranej w teatrze daleko od śródmieścia?

Głupie bo głupie jest to „Porwanie Sabineki” i kapłani sztuki odwracają się z niesmakiem od widzów, aprobującej śmiechem co komiczniejsze poplątania scenicznego korowodu, złym okiem patrzą na scenę, na której aktorzy bawią się pospół z widzami. Arcyglupia jest ta staroświecka, austriacka farsa i mają rację ci, co nad nią z politowaniem kiwają głowami. Ale... jest wiele tych „ale”. Już Schönthan uzbroidł to „Porwanie” w parę kapitalnych typów — jak owego dyrektora prowincjonalnej trupy aktorskiej, szmirusa i kobotyna, ale postaci jakże charakterystycznej dla epoki; lub tej-służącej w domu profesora-filologa, która włada lacią jak garkami i bezbłędnie poprawia zeszyty uczniów swego chlebodawcy. A Tuwim tę smakowitą, świeżą w pomysłach i zręczną w sytuacjach

treść wlał w kunsztowną formę swej ironii, groteski, ba, cedergronizmu czyli doprowadzenia do absurdu. I powstał przepyszny utwór, który — nie trzeba być prorokiem, by przepowiedzieć — rozbieszczać będzie nasze wnuki jak nas niefrasobliwie rozbieszcza i bawi.

Schönthan i Tuwim oddaliby jednak sprawiedliwość Szpakowiczowi i włączyliby go na trzeciego do swego duumwiratu (widzę, że i mnie ponosi klasyczna wena). Bo farsa wyreżyserowana jest wybornie, polykamy ją raz-dwa-trzy, i scenograficznie rozwiązana jest prościutko a dowcipnie, zamiast czterech dekoracji do czterech aktów mamy jedną syntetyczną dla obu części, gdzie i salon i ogród państwa profesorstwa się pomieściły.

I zagrana jest ta sztuczka popiślowo, jedni lepsi od drugich, trzeba po kolei przepisać z afisza. A więc: Jarema Stępowski (rozkosznie fajlapowaty pedagog-pantoflarz), Helena Gruszcza (jego sroga magnifika), Ewa Krasnodęska (młoda meżateczka, nie bez pikanterii) wraz z Lechem Mkułowskim (ofiara żoninej zazdrości), Benigna Sojecka (świetna w roli młodzieżowej dziewczeczki), Jolanta Skowrońska (nie mniej świetna jako uczona w łacinie sługa), Witold Kałuski (mały dostojny, dyrektor Strzyga-Strzycki), Wojciech Stielon (podpatrzony pysśnie w typie właściciela handlu śniadankowego), Włodzisław Głiński (latorość statecznego rodu restauratora, z miłości zawieszony między aktorskie grono).

Dla farsy trzeba odpowiedniego klimatu; to jasne. Widziałem niegdyś wielkiego Węgrzyna w roli Strzyckiego: „kłał” całe przedstawienie, bo chociaż grał w swoim rodzaju znakomicie (czyż potrzebne zapewnienie?) był wówczas u kresu życia i budził smutek. Strzycki ma w pewnej sytuacji wygłosił kilka zdań z roli Króla Lira; Kałuski robi to farsowo, tkwi w sztuce, jeszcze zwiększa wesołość. Węgrzyn w tej sytuacji był wspaniały, przejmujący ale tragiczny; i od razu na długie chwile odbierał ochotę do śmiechu, widział o posypaniu głowy popiołem („vanitas vanitatum...”),

farsa rozplywała się w żalosci...

„Porwanie Sabineki” ukazała nam niedawno w tej samej niemal obsadzie i w tej samej reżyserii Telewizja Warszawska. Jestem entuzjastą telewizji, ale w tym wypadku już zaraz za bramą mówiłem, że to nie to samo. Śmieszne były, są i będą próby „dorównania” czy zastępowania teatru trójwymiarowego, teatru żywego człowieka przez jakąkolwiek namiastkę lub — jeśli Was to słowo uraziło — przez jakikolwiek inny rodzaj sztuki widowiskowej. Może film obrosnąć w kulistość, wypukłość, wonność jak już obrósł w dźwięk, barwę, panoramiczność, mogą telewizyjne ekrany wyolbrzymić do rozmiarów ściany w ponadnormowej izbie — tylko teatr ma w sobie tę pełnię, którą określa udział żywego człowieka, żywego aktora choćby na gołej scenie, choćby w wiejskiej stodole. Film, od czasu gdy poszedł własną drogą — telewizja, od czasu gdy wypracuje własną formę artystyczną (rodzi się ona obecnie w bólach) — to któreś tam kolejne muzy, rządzące się własnymi prawami. Lecz muzy teatru nie stracą nigdy z jej piedestału.

Na dodatek pragnę poinformować: Farsę „Der Raub der Sabinerinnen” napisał wiedeński literat i dyrektor teatru Franz von Schönthan, Edler von Perwald, wespół ze swoim bratem Pawłem; to niesprawiedliwość, że się Pawełka opuszcza na afiszach, bo nie mniej był płodny niż Franz i znany jako humorysta i dostawca sztuk, opowiadań, felietonów.

W adaptacji Tuwima ukazało się „Porwanie Sabineki” w „Scenie młodzieżowej” nr 4, całkiem świeżo wydanej przez Iskry („druk ukończono w lipcu 1958 r.”). A więc „Porwanie Sabineki” trafiła pod strzechy! Joanna Kulmowa uzupełniła wydanie obszernymi „Uwagami reżyserскими”, w których zaczyna od królowej Wiktorii, snuje porównania z Zapolską i poucza amatorów o tym, co się w tej farsie dzieje i jak ją grać należy, by nie było ani nadętej pompy ani cyrkowego wyglądu.

Aha, i jeszcze jedno. W „Scenie młodzieżowej” określone jest „Porwanie Sabineki” jako „farsa ze splewaniami”, a nie szacowna komedia.

JASZCZ